ROZMAITOŚCI.

Dnia 25. Czerwca **N^er 26.** Roku 1842.

PRZYGODA KATA.

1.

Baptysta Tape-á-Mort, tęgi, silny, wzrostu olbrzymiego mężczyzna, twarzy przypominającéj rysy dawnych Rzymian, był przez długi czas we Francyi przedmiotem postrachu i podziwienia, a w niektórych prowincyjach, gmin nazywał go czarownikiem.

Już dziesięć kroć schwytano Baptystę jako zbrodniarza na gorącym uczynku i okuto go w ciężkie kajdany, i po dziesięć kroć umknął z więzienia, i szydził z żelaznych krat i zamków, drwił sobie z dozorców, i był tak pewnym swéj zręczności, iż nieraz naprzód oznaczył czas, kiedy z więzienia ucieknie i na nowo broić zacznie.

Baptysta Tape-á-Mort, znowu we krwie zbroczył ręce swoje. W Blois, w jednym z najznaczniejszych domów tego miasta, schwytano go w téjże chwili, gdy z sztyletem w ręku zrabował kwotę 180,000 franków w złocie i klejnotach. Napadł on w nocy na pomieszkanie sędziwéj hrabiny i okropnie ją pokaléczył. Trzy głębokie rany zadał jéj sztyletem, a w końcu lękając się, aby nie był poznanym, morderczém ostrzem wykłół jéj oczy! Straż sprawiedliwości nadbiegła i uwięziła go śród wykonywania tego barbarzyńskiego czynu.

Baptysta podług swego zwyczaju, wyznał wszystko, opowiedział najdrobniejsze szczegóły swéj zbrodni, i z powolnością dziecka dał się zaprowadzić do więzienia w Blois. Za rozkazem rady miejskiéj, wtrącono złoczyńcę do więzienia bez okna, ręce i nogi zakuto w kajdany. Żołniérze dzień i noc czuwali u drzwi podziemnego sklepu, w którym się Baptysta znajdował. — Właśnie pod ten czas byłem katem w Blois. Okropny ten urząd musiałem odziedziczyć po ojcu, który wkrótce przed tém zdarzeniem umarł. Ścięcie *Tape-á-mort*, miało być piérwszą próbą mojéj zręczności. Królewski prokurator przywołał mnie do siebie.

»George!« rzekł do mnie — »jutro mamy trudne zadanie.«

»Zapewne«, odpowiedziałem, »to nie lada złoczyńca.«

»Pilnuj go bacznie podczas toalety jego.«

»Nie obawiaj się pan niczego, żywym nie ujdzie on rękom moim, raz przecież kraj nasz uwolni się od tego potworu.«

W przeciągu dni ośmiu skazano złoczyńcę na śmierć. Wieczorem poszedłem do więzienia, otworzono mi jego celę.

»Kto tam!« zawołał Baptysta, podnosząc się z barłogu.

»Kat«, odpowiedział dozorca więźniów, »przybywa z swémi pomocnikami aby cię przygotował do jutrzejszéj uroczystości, zamyśla twoje włosy uporządkować.«

»Nie wiele będzie miał zachodu ten szanowny mąż. Właśnie przed dwoma miesiącami fryzował mnie jego kolega w Tours, a jeszcze piérwéj przed miesiącem kat w Nantes. Wygodna to rzecz, nigdy nie płacić za podstrzyżenie włosów.«

»Jednakże daj się obejrzeć Baptysto« — zawołałem, »najmniejsza poprawka nożycami, przydać się nam bardzo może. Włos, którym szyja porasta, mógłby osłabić cięcie gilotyny, a gdyby twoja głowa mój przyjacielu od razu nie spadła, lud rzuciłby się na mnie.«

To mówiąc, usadowiłem na stołku złoczyńcę, i zacząłem podstrzygać włos na szyi.

»Przyjacielu«, zawołał Baptysta, »czy ty doprawdy myślisz, że mnie jutro gilotynować będziesz?«

»Nic pewniejszego.«

»Więc ty nie wiesz, żem ja nie jednego już z twych kolegów w pole wyprowadził? Czy nie słyszałeś o tém, jak ja katowi w Verdun już na rusztowaniu, w podrzyźnienie język pokazałem, i wymknąłem się z rąk jego?«

»O, mój kochanku, mnie się nie tak łatwo z rąk wymkniesz«, odparłem pewnym głosem. —

»Tak ty myślisz?«

»Jestem pewnym tego.«

»Niechże i tak będzie; jeźli z ciebie walny człowiek mój kacie, to mi uczynisz jedną przysługę.«

»A jaką?«

»Jutro o szóstéj z-rana mam być ściętym, otóż zapraszam cię na czwartą godzinę do »Hotelu angielskiego« na śniadanie — czy przyjdziesz?«

»O, przyjdę«, rzekłem śmiejąc się, »jeźli będziesz na wolnéj stopie.«

»O będę, zapewniam cię«, zawołał *Tape-à-mort,* uśmiéchając się szydersko.

»Moi panowie!« rzekłem do straży, wychodząc z więzienia, »właśnie zaprosił mnie Baptysta, abym na dwie godziny przed jego ścięciem, śniadał z nim razem w hotelu. Czynię was uważnymi, iż on jakieś zamiary knuje, miéjcie się na baczności!«

»Podwoić straże«, zawołał dozorca więzień. —

»Jutro białe wino i ostrygi«, odezwał się głos z celi gdy zamykano drzwi więzienia.

Obróciłem się i ujrzałem jak za kratami więzienia Baptysta dziko i odraźliwie wykrzywił twarz swoję.

2.

Noc przepędziłem bezsennie, nie tyle obawiałem się przechwałek i zaprosin zbrodniarza, ile nieostrożności straży lub ich przekupstwa. Gdy trzecia godzina uderzyła, owinąłem się płaszczem, i szedłem ku więzieniu. —

»A co Jakubie? Czy więzień jest jeszcze w waszém ręku«, spytałem siepacza.

»Właśnie teraz smacznie zajada.«

Otworzono mi więzienie, widziałem jak żarłocznie połykał kotlet i z butelki zapijał winem.

»Zwolna! zwolna! Mości Baptysto« — rzekłem śmiejąc się, »bo śniadanie, na któreś mnie zaprosił, nie będzie ci smakować.«

»Zobaczysz«, odpowiedział z dzikim śmiéchem, »już ja zdołam uraczyć mego gościa. To wcale nie przeszkodzi śniadaniu, na które ciebie zaprosiłem. Jeszcze mamy jedną czy dwie godzin czasu.«

»Jeszcze Gaskonija nie wydała takiego samochwalcy, jakim jest ten złoczyńca«, pomyślałem sobie, a pewny méj sprawy rzekłem: »Jakubie, moi pomocnicy czy przybędą tutaj za godzinę?«

»Tak jest«, odpowiedział siepacz.

»Sąż oni zręczni?«

»Jak małpy, zresztą nie wielki trud ich czeka, tylko trącą maszynę, a już sama spadnie.«

»Do zobaczenia, a dobrze mi pilnujcie tego łotra.«

Spiesznie wróciłem do domu. — Byłoto w lecie, słońce purpurowém promieniem wyjrzało z po-za widnokręgu, gwiazdy coraz więcéj znikały, tak, jak światła na balu, które służba, jedno po drugiém gasi, skoro zabawa się skończyła. Właśnie uderzyła czwarta, gdym wchodził w progi domu mego, a żona moja ciekawém okiem mnie pytała.

»Jeszcze zając siedzi w kniei Doroto« — rzekłem, »naléwaj kawy, to mnie pokrzepi, gdyż do naszego okrutnego zatrudnienia, potrzeba siły.«

Ledwie żona moja nalała mi kawy, usłyszałem mocne zakołatanie do drzwi.

»Kto tam« — krzyknąłem.

»Przynoszę pilną wiadomość, otwórzcie.«

Powstałem, otworzyłem drzwi do połowy, i zobaczyłem lokaja z gościnnego domu, człowieka znanego mi z uczciwości.

»Przychodzę«, rzekł do mnie, »od jednego pana, który mieszka w »Hotelu angielskim«, wczoraj w wieczór zaprosił pana na śniadanie, a dziś go oczekuje.«

»On mnie oczekuje?!« wyrzekłem i zadrżałem z trwogi i zdziwienia!

»Tak panie, ostrygi i wino już gotowe.«

»To może jaka łapka Karolu; nie idź« — mówiła moja żona.

»Przyrzekłem, i może zależy na tém społeczeństwu, żebym się stawił. Podaj mi pistolety i sztylet, i zaufaj Temu, który strzeże uczciwych ludzi.« — To mówiąc, owinąłem się płaszczem, schwyciłem broń i szedłem za moim przewodnikiem na ciekawe śniadanie.

3.

Wchodząc do gościnnego domu angielskiego, mój przewodnik wskazał mnie gospodyni — »oto jest ten pan, którego młody oficer kazał przyprowadzić.« — »Dobrze«, odpowiedziała, »masz talara za trud. Mogę ci dobrze zapłacić, bo ten, co cię posyłał nie żałuje pieniędzy.«

»Czy mój gospodarz taki spaniały?«

»Spanialszy od lorda angielskiego — sypie luidorami jak prosem — ale wnijdź pan, już nakryto dla pana.«

Otworzyłem drzwi gościnnéj izby, i ujrzałem stół świetnie nakryty. Ostrygi z Ostendy przy niemieckiéj szynce, ryby, pasztety, wino reńskie i hiszpańskie na białym jak alabaster obrusie — śniadanie paryskie ze wszystkiémi zbytkami i smacznémi kąskami. Jeszczem się mu przypatrywał gdy drzwi się otwarły i — nie mógłem wierzyć oczom moim, Baptysta *Tape-à-mort,* stał przedemną! — Już nie był w ubogiéj odzieży więźnia, lecz w świetnym ubiorze bez kajdan na rękach i nogach. Gdyby nie włosy ostrzyżone, nie byłbym w nim poznał skazanego na śmierć. Miał na sobie uniform oficera od piechoty. Złotem i śrébrem połyskujące epolety, okrywały szérokie ramiona — na piersiach krzyż legii honorowéj i order hiszpański — na palcach kosztowne pierścienie — bawił się niedbale rękojeścią u szpady.

»Oto mój gościu, butelki otwarte, żołądki na czczo, trzeba je zagrzać; do ciebie!« To mówiąc, podniósł szklankę, grzecznie skinął głową i duszkiem wypił. »Piję przed jedzeniem, nie tyle z pragnienia, jak żeby tobie pokazać, że arszeniku ani siarczanego kwasu w mojém winie i potrawach nié ma. W obliczu śmierci więc jédzmy i pijmy bez obawy.«

»Panie Baptysto! nie wiém czy godzi mi się pić z człowiekiem, któremu miałem....«

»Głowę uciąć! — nie obawiaj się niczego, nie jestem podstępny ani mściwy — dobre mam serce, i jeźli ci się czém przysłużyć mogę, jestem na twoje rozkazy p. kacie.«

»Myślisz więc wrócić do Paryża?«

»Nie inaczéj. Mam kochankę między baletniczkami opery — małą blondynkę, która występuje w *Więzach Wulkana,* obiecałem ją tego lata do wód zawieźć.«

»Nieba!« pomyślałem. »Nie godzi się, aby zbójca urągał społeczeństwu w obec narzędzia kary i zgrozy.« — »Na pomoc«, począłem wołać, »na pomoc! Imajcie tego człowieka, który uciekł z więzienia, to zabójca hrabiny d'Eyragues.«

Co było żywego w gościnnym domu otoczyło nas, i gospodyni była na czele. — »To Baptysta *Tape-à-mort,* który za godzinę ma być śmiercią karany.«

Baptysta śród tego zgiełku siedział spokojnie za stołem, i uśmiechał się ze wzgardą. Dobył pugilaresu i pokazał patent na porucznika i urlop na trzy miesiące podpisany przez ministra wojny.

»Ten człowiek szalony, albo pijany«, rzekł z ironiją — omyłka najętego sługi tu go sprowadziła, i z téj omyłki korzysta, aby mnie obrażać i krzywdzić.«

Wszyscy przytomni widząc stopień mówiącego, usunęli się — daremnie wołałem, aby go chwytali — nikt nie śmiał przystąpić. On tymczasem dobył szpady i kładąc ją na stół, groził śmiercią każdemu, ktoby się nań targnął.

Tu przybyła straż więzienia, przezemnie uwiadomiona. Zaraz po zniknieniu więźnia, ruszyli mi w pomoc. Znając przebiegłość Baptysty, nie byli jego ucieczką zdziwieni.

»Pomóż mi go związać«, wołałem na dozorcę więzienia.

»Śmierć«, zawołał zbieg, »śmierć każdemu, co się do mnie zbliży.«

»Nie bójcie się — czyńmy naszą powinność — teraz pan Baptysta musiałby bardzo być przebiegłym, aby mógł ujść z rąk sprawiedliwości.« — To rzekłszy, strzeliłem do niego z pistoletu. Kula trafiła w piersi — zachwiał się, krew buchnęła z rany obficie, wydał głos boleści. Powaliłem go na ziemię. »Przebaczenia!« zawołał — »jam nie zasłużył na śmierć.... jesteś za porywczy — ja, jestem....«

Głos jego zamiérał, światło oczu przygasało, okropna boleść, nie dała mu mówić.

»Przyjaciele!« rzekłem do ludzi, którzy mnie otaczali—»nie ściérpcie, aby winowajca usuwał się przed surowością ustaw.... Na rusztowaniu niech zakończy zbrodnicze życie.« —

»Tak, na rusztowanie z nim!« ozwało się kilka głosów.

Zanieśliśmy konającego na miejsce przeznaczone. Na rusztowaniu chwyciłem go za włosy, a za pomocą siepaczy, położyłem go pod gilotynę. W téj chwili zdawał się głos jego odżywać.

»Przebaczenia, przebaczenia, wszystko powiém«, jąkał złoczyńca... »śmierci nie zasłu......«

Nie chciałem przedłużać smutnego widoku konającego, który oczekiwał ostatniego ciosu. Spuściłem gilotynę.

Nóż gilotyny zasyczał jak wąż zgłodniały, odciął głowę nieszczęśliwemu, a nas wszystkich krwią obryzgał.

W godzinę potém, umywszy sobie ze krwi twarz i ręce, — z Dorotą, moją pobożną żoną, klęczałem przed obrazem Zbawiciela. Modliliśmy się za duszę winowajcy... dopiéro w późną noc, po takiém natężeniu, mogłem usnąć.

4.

Spałem od kilku godzin, w około mnie była głucha cisza. Przez sen uczułem, że coś twardego przesunęło się po mojém ciele. Z razu myślałem, iż to jest skutkiem wyobraźni, rozognionéj scenami dnia wczorajszego. Ale gdy po raz drugi ponowiło się to samo uczucie, wyciągnąłem rękę za przedmiotem, który dotykał mego ciała — lecz jakże się przeląkłem, gdym uchwycił za rękę ludzką! — »Kto tu?« zapytałem.

Żadnéj odpowiedzi, tylko silne ramię dźwignęło mnie z łóżka. Zawlekło mnie do okna, a przy bladawém świetle gwiazd poznałem, — oh! jeszcze teraz na to wspomnienie krew się ścina w żyłach moich! — w téj tajemniczéj istocie poznałem..... *Baptystę Tape-à-mort*..... któremu we dnie głowę uciąłem...

»Milcz kacie!« przemówił, żadnego krzyku nie rób.«

»Czy ty czartem jesteś?« zawołałem.

»Być może, ale od dzisiaj zostanę pustelnikiem, a ty dzięk j niebu za to, iż moje żelazo ciebie nie przebija, odjąłbym ci uciechę, ucinania mnie głowy. Ale jestem uczciwym łotrem, a ty sam możesz sobie życie uratować.. — Jesteśmy sami, jeźli na krok postąpisz, zabiję cię... jeźli się twoja żona obudzi... zginęliście oboje... Bądź roztropnym i mów cicho.«

»Co rozkażesz?« odpowiedziałem, na pół martwy ze strachu, »gdy umarli z grobu powstają, człowiek ślepo posłusznym być powinien!«

»Więc dobrze..... Daj mi twój dekret na kata — twoje papiéry familijne, i twoje korespondencyje.«

»Oto masz!«

»A teraz daj mi stósowny ubiór, —ale ubiór zwyczajny, — surdut, buty i płaszcz.«

»Oto suknie leżą na stołku, weź je.«

»*Allons*, kacie, mój przyjacielu, bądź moim lokajem, gdyż tu ciemno, a czasu mam mało. A teraz zaprowadź mnie do kolébki twego syna.« —

Na te słowa włosy stanęły mi na głowie! Zaprowadziłem straszliwego gościa do dziecka, którém mnie Bóg przed kilku miesięcami obdarzył.

»Oh! widzę«, odezwało się okropne widmo, »że dziecko zdrowe i chować się będzie..... Tylko gdy milczyć nie będziesz, umrze.... Przysięgnij mi tu, iż pod utratą téj niewinnéj istoty, nie powiész nikomu, co między nami téj nocy zaszło.«

»Przysięgam na moje zbawienie, na zbawienie syna mojego.«

»Bądź zdrów!«

Rzekł, otworzył sobie drzwi, i zamknął za pomocą wytrycha.... potém usłyszałem kroki na ulicy... i znowu wszystko ucichło.

»Jérzy«—zapytała moja żona w kilka chwil późniéj, »co ci takiego? Trzęsiesz się, jak gdybyś miał febrę.«

»Nic mi nie jest«, odpowiedziałem, przypominając sobie straszliwe przyrzeczenie, »to tylko sen, okropny sen!«

5.

W dziesieć lat późniéj otrzymałem list następujący:

Katowi w mieście Tours.

»*Baptysta Tape-à-mort* uwalnia cię od »przysięgi. Udał się do Włoch i żyje tam »od lat dziesięciu jako uczciwy człowiek. »Nie byłto Baptysta, który z ręki twojéj stracił życie na rusztowaniu, ale brat jego bliźniak, zupełnie do niego podobny, pomocnik jego zbrodniczych czynów. Gdy Baptysta zamknięty był w więzieniu, brat jego »Lucyjan, oficer, za przyzwoleniem dowódcy garnizonu w L. przybył do Blois. Właśnie odwidzałeś mnie po raz ostatni, gdy »Lucyjan uwiadomiony o wszystkiém, zjawia się straży czuwającéj pilnie, abym nie »uciekł, i woła: »Ha! łotry, oto widzicie, żem »wolny«, i téjże chwili znika; straż rzuca »się za nim w pogoń, on gubi się w ulicach »miasta, a ja tymczasem uciekam z więzienia, bo wiész, że dla mnie nie było ani »rygłów ani zamku; Baptysta zaprosił cię na »śniadanie, a brat jego Lucyjan, przyjmował »cię w »Hotelu angielskim«; co się daléj stało, »wiész dokładnie, zamiast mnie—ścięto brata »mojego! Ja potém ukazałem ci się w nocy; »twój ubiór i twoje papiéry pomogły mnie »do ucieczki. Śmierć brata wstrzęsła mnie »do głębi duszy, zachwiała moją zbrodniczą »stałością. Udałem się w kraj obcy, aby u»czciwém życiem odpokutować dawne winy; »teraz nie ofiaruje ci żadnéj nagrody, bo »byś ją odrzucił, ale proszę cię, za zawarte »w tém liście piéniądze, wystaw pomnik na »grobie brata mojego!«

Téj prośbie uczyniłem zadość, a od lat kilku w Blois na cmentarzu złoczyńców, leży kamień grobowy, ale napisu—na nim nié ma.

POTOK ŻYCIA.

Burzliwa moich dni rzéko,
Dowoli jużeś, dowoli
Niszczyła niwę méj doli,
Głuszyła wrzawą fal dziką;
Stój potoku mój!
Cichém źródłem stój!
Ustronie takie tu sielskie,
Tu lica takie kwitnące,
Tu serca tak miłujące,
Tu wszystko takie anielskie,—
Stój potoku mój!
Cichém źródłem stój!
Tam daléj o krok, o chwilę,
Znów może burza cię spieni,
Znów może krew cię zrumieni,
A może zginiesz w mogile;
Stój potoku mój!
Cichém źródłem stój!
A w koło braci tysiące
Dla serca pragną ochłody
Jak kwiaty w puszczach bez wody
Schylają czoła więdnące!
Nie czas ciszy chcieć!
Leć, potoku, leć!

**.

Wspomnienia wojskowe.

I.

Kiedy jedni pisarze kreślą nam obcych krajów zwyczaje, drudzy naukowe przedmioty lub namiętnéj miłości straszliwe zdarzenia, ja w mojém cichém ustroniu przechodząc myślą dawne przygody wojskowe, opiszę cnoty walecznego Szwartza; któżto jest? — nie jeden z was pewnie zapyta; jestżeto jaki nieznany historyk—poeta—może wynalazca zabójczego prochu—albo bohatér dawnych wieków krucyjaty?—o, nie—Szwartz mężny, cnotliwy, przyjacielski—byłto pies w pułku polskich ułanów gwardyi Napoleona; nie śmiéjcie się proszę, gdy wam powiém, że Szwartz nie miał ogona, lecz za to był silny, czarnokosmaty ze stojącémi uszami a w oczach jego malowały się rozum, odwaga i czułość; od urodzenia był krnąbrny i wolno-myślący; dla tego w młodym wieku zerwawszy niewolniczą obróżę, na któréj go więził piwowar w Hanowerze, poszedł z dziéwiątym pułkiem strzelców konnych francuzkich na kampaniją pruską, gdzie w bitwie pod Frydlandem przed frontem tego pułku został postrzelony w kark kulą karabinową, a ta, z czasem spuściwszy się za skórą w jego podgardle, przez całe życie była ozdobą jego odwagi. Po kampanii 1807 r., gdy pułk dziéwiąty strzelców stanął garnizonem w Poczdamie, Szwartz sprzykrzywszy sobie nieczynne życie, bez zameldowania się porzucił strzelców francuzkich i poszedł z oddziałem polskich ułanów gwardyi na kampaniją hiszpańską; w marszu szedł zawsze przed trębaczami, codziennie z innym nocował żołniérzem, a z-rana, piérwszy stawał na miejscu zebrania szwadronów. Kiedy oddział ułanów gwardyi odpoczywał parę miesięcy w Bordeaux, Szwartz znał wszystkie kwatéry żołniérzy w tém rozległém mieście i nigdy nie chybił żadnego apelu na placu wojskowym; na każdéj paradzie, na każdéj mustrze, nawet w magazynach przy odbiéraniu furażów, był zawsze

obecny, a tak cały oddany służbie wojskowéj, przyjacielski, usłużny, w jednych tylko uczuciach miłości był obojętny, i dla tego na inne psy pułkowe patrzał z pogardą; raz tylko szczególnie gdy szwadrony ułanów szły na musztrę, spóźnił się na plac wojskowy, wiodąc z sobą prześlicznéj urody mopsicę; lecz kiedy usłyszał trębaczy, zawstydzony swoim postępkiem, stanął na swém miejscu, a ona ze smutkiem zmuszona była opuścić niewdzięcznego kochanka. Przy tych wszystkich zaletach, wyznać trzeba szczérze, że Szwartz był trochę łakomy, dla tego w Bordeaux z najodleglejszych ulic miasta widziałeś go codziennie o godzinie piątéj spieszącego na obiad oficerski pod trzema koronami— lecz za to w kampanii znosił cierpliwie głód i wszelkie trudy; nigdy nie spoczął w obozie, lecz zawsze na przednich czatach, a kiedy dostrzegł ułanów idących na podjazd lub patrol, czyli to w dzień lub w nocy, zawsze z niémi odbył każdą wyprawę; w boju był pewnie przed frontem, stojąc nieporuszenie pod ogniem armatnim', a do attaku leciał wesoło obok trębaczy. Był on w Hiszpanii i w Moskwie, był nad brzegami Dunaju i Wisły, przebył szczęśliwie wszystkie kampanije, i w każdym żołniérzu miał przyjaciela; a kiedy pułk ułanów gwardyi po krwawych bojach, żegnał swój sztandar oddając konie i broń na placu w miasteczku Kutnie; widziałeś jeszcze starego Szwartza smutnie leżącego przed frontem swojego pułku; ileżto oficerów i żołniérzy chcieli mu dać schronienie w domowéj zaciszy; lecz on nie słysząc ulubionéj trąby, głuchy był na ich wezwania; nakoniec poszedł z głową zwieszoną w Księztwo poznańskie ze starym o szczudle żołniérzem, gdzie wkrótce z tęsknoty i wieku, zakończył swe biédne życie. *S. H.....*

Rumak arabski i koń angielski.

Rumak arabski jestto cud natury, koń angielski jest produkt sztuki. Dla tego téż Anglicy odświeżają ciągle chów swoich koni prawdziwą arabską stadniną. Niejaki pan Hamont, który z polecenia rządu francuzkiego zwiédził Egipt dla poznania tamtejszych stadnin, wydał niedawno broszurę, w któréj rumaka arabskiego opisał jak następuje: »Rumak ten jest typem swego rodzaju, a nawet w Egipcie został dokładniéj poznany dopiéro za zdobyciem Arabii centralnéj przez Ibrahima i Kurszyda Baszę; żywi się mlékiem wielbłądziém, polewką z mięsa, mąką, migdałami, a nawet samém mięsem. Tylko przez dni 40 w roku puszczają go Arabowie na trawę, gdyż są tego zdania, iż to rozmiękczyłoby jego kości; mając podostatkiem wielbłądów i owiec, dają koniom mięsa z młodych zwiérząt; mięso to najpiérw gotują, poczém scedzoną polewkę dają im za napój, a samo mięso wykładają na stół, w około którego rumaki stoją; poczém właściciel powybiérawszy kości, obdziela każdego konia porcyją przynależną. Beduinowie odłączają od klaczy źrébięta w trzy lub cztéry miesiące, i żywią je masném mlékiem wielbłądziém. Niektóre plemiona mięszają doń także migdały. Rumak z Nedży jest nadzwyczaj piękny i ma wzrok rozumny, jakiego w żadnéj innéj stadninie nie znajdziesz. Pojętny i posłuszny, już w wielkiéj odległości poznaje swego pana, który się z nim nigdy źle nie obchodzi. Wzajemne to przywiązanie jest skutkiem, że jeździec najczęściéj nawet cugli nie potrzebuje, słowo, skinienie, a nawet samo dotknięcie, już są dostateczne do kiérowania. Szlachetny rumak, duma swego plemienia, należy częstokroć spólnie do kilku Beduinów. Wiadomo, jak wielką Arabowie pokładają wartość w czystości stadniny. Najpiękniejsza rasa znana jest pod nazwiskiem *Kawella;* z téj pochodzą cztéry rasy pośledniejszego stopnia jako to: *Saklawe*, *Kuresze, Dema* i *Eubeja.* Konie te żyją bardzo długo, w 25 latach jeszcze są młode, a średni ich wiek jest między 35 i 40 rokiem. Są one we wszystkiém bardzo umiarkowane, a żołądek ich wraz z trzewami, zajmuje tylko połowę tyle przestrzeni, co podbrzusze konia europejskiego, który sianem, słomą i obrokiem się żywi. Konie te napiwszy się wielbłądziego mléka, zdołają dwa lub trzy dni biédz ciągiem bez wszelkiego popasu.

Z takim arabskim rumakiem nie wytrzyma najpiękniejszy angielski biegun pod żadnym względem porównania. Lecz duma angielska nie chce się do tego przyznać. Pan Hamont opowiada w téj mierze zabawny wypadek: »W czasie gdy Kurszyd Basza był gubernatorem Nedżu«, mówi tenże francuzki znawca koni, »kilku Anglików zaproponowało Arabom, aby z nimi wyprawili gonitwę. Arabowie zezwolili na to, poczém Anglicy zażądali 40 dni zwłoki dla przysposobienia swoich koni. Arabowie, których rumaki zawsze gotowe są do biegu, nie pojmowali co to ma znaczyć, jednakże zezwolili na termin, a w dniu oznaczonym zeszli się wszyscy razem. Beduinowie zapytują Anglików, wiele dni trwać ma gonitwa. Pytanie to zdziwiło Anglików, i odrzekli: »Że gonitwa u nich nie trwa tylko jednę godzinę.« Beduinowie usłyszawszy to, parsknęli ze śmiéchu, że Anglicy na jednę godzinę przez 40 dni przysposabiali konie. Lecz Anglicy oświadczyli na to, że u nich

taki zwyczaj, i że po takiém przysposobieniu konie angielskie odniosą nie tylko nad wszystkiémi europejskiémi, ale nawet i nad arabskiémi zwycięztwo. Beduinowie uśmiéchnęli się na to. Wtém dwoch chudych angielskich *groomów*, przywiodło dwa od stóp aż do głowy w pilśnią przyodziane konie; co gdy spostrzegli Arabowie, zaczęli się gniewać, mniemając, że Anglicy z nich zażartować chcieli. Jakoż potrzeba było aż Kurszyda Baszy dla skłonienia ich do gonitwy. W czasie gdy chudy *groom* dosiada prawie również chudego rumaka, barczysty Beduiu z dzidą w ręku wskakuje na konia zwyczajnéj miary. Wyznaczono trzy godziny na gonitwę, która się téjże chwili zaczęła. W piérwszéj pół godzinie wyprzedzili Anglicy swych przeciwników, lecz wkrótce nie tylko że ich doganiają Arabowie, ale nawet o całą godzinę piérwéj stają u mety. A gdy konie angielskie po odbytéj gonitwie zadyszane i zmęczone, ledwie się na nogach utrzymać mogą, niestrudzone arabskie rumaki parskają ochoczo, grzebią nogą w ziemię i rwą się do nowego zawodu.«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 25. i obejmuje: 1) Jak należy wykonywać orkę? 2) Porównanie czystego gospodarstwa trój-polowego z gospodarstwem płodo-zmiennem. 3) O środkach służących do podźwignienia chowu bydła poddańczego. 4) O fabrykacyi cukru z buraków. 5) Wiadomości czasowe.

Z Warszawy. Z dniem 24go czerwca 1842 r., to jest z przyszłym dniem św. Jana, jako początkiem roku gospodarskiego pod redakcyją J. Koncewicza, wychodzić zacznie co kwartał pismo pod tytułem: *Roczniki gospodarstwa krajowego*, w którém przede-wszystkiém rozprawy i artykuły przez praktyków wypracowane, a specyjalnie lub ogółowo wszelkich gałęzi przemysłu rolniczego dotyczące się, umieszczane będą. Jaki kierunek i dążność tym pracom mają być nadane, najlepiéj wskaże rozprawa w piérwszym Nrze Roczników zamieszczona pod tytułem: »Czyli życie przemysłu naszego, mianowicie przemysłu rolniczego, pojmujemy ze stanowiska odpowiedniego naszéj miejscowości?«

Od dawna niecierpliwie oczekiwana *Fizyka* Józefa Żochowskiego, już wyszła w dwóch tomach. Niemożność, ani w części pokrycia kosztów z prenumeraty, była istotną przyczyną téj zwłoki; niemożność ta stała się oraz przyczyną podniesienia ceny dzieła do pięciu rubl. śrébr. Tom pierwszy zawiéra mechanikę sposobem przystępnym matematycznie wyłożoną—z objaśnieniem w przypisach uderzających wątpliwość, co do kardynalnych zasad Newtona.

Tom drugi nierównie ciekawszy, jako fizykę nowszą aż do dzisiejszych czasów obejmującv, zawiéra: optykę, naukę o elektryczności, magnetyzmie i elektro-magnetyzmie. Wydawca Józef Sapalski.

Pracowite literatki. W amerykańskiém fabryczném mieście Lowell wychodzi co miesiąc peryjodyczne pisemko pod nazwą: *Lowell Offering*, wydawane i pisane wyłącznie przez dziéwczęta, które w tamtejszych fabrykach są zatrudnione. Jedna z gazet amerykańskich powątpiéwa, aby gdzie indziéj znalazła się równa ilość młodych dam z ukształconéj klasy, któreby poprawniéj i z większym gustem w języku krajowym pisały, niż owe przy fabrykach zatrudnione dziéwczęta. Takby i u nas płeć niewieścia czynić powinna; bo jeżeli w wyższych stanach panuje w tym względzie zaniedbanie, niechże z niższéj klasy idzie dobry przykład i zachęcenie.

Ważny wynalazek okulistyczny. Doktor Wieseke wynalazł nowe narzędzie dla uważania jak powstaje i jaki bieg odbywa choroba oczu. Przysłał on opisanie tego aparatu paryskiéj akademii umiejętności i mówi w swém doniesieniu tak: »Za pomocą tego narzędzia może każdy w swoich oczach widziéć ruch wodnistych i śklistych substancyj, dostrzédz budowy kapsułek i najdrobniejszych ciał nieprzeźroczystych. Pacyjent może za piérwszém pojawieniem się odkryć przyczynę choroby oczu, dostrzédz jéj siedlisko i uważać jéj bieg i modyfikacyję; może widziéć, jaką zmianę sprawia użycie medykamentów, spostrzegać atomy, które się roztwarzającą siłą wodnistych soków od nieprzejrzystych ciał odrywają. Jestto oczéwisty dowód, iż bielmo bez operacyi roztworzyć i zniszczyć można. W dopisku zapewnia pan Wieseke, że modyfikacyjami cieplika i światła, za pomocą wynalezionych przez niego okularów bielmo roztworzyć i ambliopiję, amaurozys, myopiję i presbyopiję uléczyć zdoła.«

Pogrzéb ciał tych nieszczęśliwych, którzy na wersalskiéj żelaznéj kolei utracili życie, odbył się dnia 23go z. m. przed południem o godzinie dziewiątéj na cmentarzu *du Mont Parnasse*, przy odprawieniu żałobnéj mszy świętéj. Już o godzinie szóstéj z-rana udał się lud na cmentarz, którego wychodów pilnowały oddziały wojska linijowego i gwardyi miejskiéj. Wpuszczano tylko osoby, zaopatrzone biletami od prefektury policyi. Po lewéj stronie przy wnijściu wzniesiono odkryty katafalk, na którym 25 trunien ustawiono. Na przeciw katafalku wykopany był dół przeznaczony dla pogrzebania ciał. Wpuszczeni na cmentarz widzowie uszykowali się we dwa rzędy. Od siódméj godziny z-rana, klęczała w pobliżu trunien młoda niewiasta z dwojgiem dzieci; byłato siostra jednego z tych nieszczęśliwych i tegoż dwoje dzieci. Postać jéj i płacz przeniknęły wszystkich obecnych. Na chwilę przed przybyciem duchowieństwa, zdarzyła się scena serce rozdziérająca. Ojciec młodego Bouchard, ucznia szkoły sztuk wyzwolonych, którego w *Morgue**) poznano, przybył w towarzystwie swéj młodéj córki. Oboje z płaczem rzucili się na trunnę, i tylko z wielką trudnością oddalił od niéj komisarz policyi nieszczęśliwego ojca. Szkoła sztuk nadobnych wysłała deputacyję na cmentarz. Między widzami spostrzegano pana Boulay (z Meurthe), protektora tego młodego człowieka, tudzież proboszczów z Meudon i Sevres, którzy podczas tego nieszczęsnego wypadku na wersalskiéj kolei osładzali religiją umiérającym ofiarom ostatnie chwile życia, i podjęli się także pobłogosławić miejscu ich spoczynku. O godzinie ósméj przybyło w procesyi liczne duchowieństwo do kościoła św. Sulpicyjusza. Nie można sobie wyobrazić, jak żałośne wrażenie sprawiły zmiészane ze łzami obecnych śpiewy żałobne. Proboszcz kościoła św. Sulpicyjusza korzystając z téj sposobności, miał do zgromadzonego ludu czułą, rozrzewniającą przemowę. Po skończonéj absolucyi duchowieństwo odśpiéwawszy *Libera*, oddaliło się. Zaraz potém spuszczono 25 trunien w dół wykopany a 21 trupów nie poznano. Administracyja kolei żelaznéj na lewym brzegu w Meudon, kazała dnia 23go maja odprawić żałobne nabożeństwo za urzędników swoich, których podczas katastrofy dnia 8. maja utraciła.

Zbrodnie we Francyi. Podług dziennika *Charivari* francuzki minister sprawiedliwości zdając sprawę z mownicy, życzył sobie szczęścia, że w roku 1841: nie wiécej — jak tylko 90,000 zbrodniarzy we Francyi liczono!

*) Miejsce, na którem wystawiają znalezione trupy, aby od publiczności poznane być mogły.

Żeglarz jakiego rzadko. W Marsylii nie mówią teraz o niczém, jak tylko o dziwnym żeglarzu, który dla utrzymania się na wodzie, nowy sposób wymyślił. Człowiek ten odziany łódką, do któréj miarę podług swego ciała wziąć kazał, odbywa w tym drewnianym habicie, niebezpieczne podróże morskie. Z całego ciała jego, jak u żółwia, nie widać jak tylko głowę i ramiona, a za pomocą dwóch wioseł, któremi steruje, walczy w szybkości o lepszą z rybami. W kącie tego długiego i wązkiego baciku ma on mały zasób żywności, a tak rozciągnąwszy się jak długi, trzymając głowę wolno w powietrzu, a w rękach wiosła, płynie z Tulonu do Nizzy i Liworna. W ten sam sposób przypłynął on z wysp hyjeryjskich do Marsylii. Stanąwszy w zatoce, poddał się ustawom marynarki, wymienił swoje i swego okrętu nazwisko i z nadzwyczajną szybkością port przepłynął. Gdy bardzo wysoko idą fale, wdziewa na siebie paletot z kauczuku, pod którym najrzęsistszemu dészczowi się opiera. A gdy morze jest mocno wzburzone, rozciąga się w swoim baciku, zamyka jednę tylko jego wentylę, i w tém nie bardzo spokojném położeniu puszcza się na igrzysko bałwanów morskich. Wtedy zdaje ci się, że widzisz nieżywego człowieka w trumnie, albo téż w pudełku człowieczego kształtu, szczelnie zamkniętą mumiję egipską.

Uchylenie iskier przy lokomotywach na kolei żelaznéj. Pewien mechanik, nazwiskiem Matthews w Szenektady, państwie nowo-jorskiém wynalazł nowy aparat chwytający w siebie iskry, które z lokomotywu wylatują. A więc machiną tą zabezpieczono nietylko oczy i suknie podróżnych, ale nawet usunięto wszelkie inne niebezpieczeństwo, jakie z ognia wyniknąć mogło.

Okropny widok. Dnia 28go maja przeraziła okropna scena w Paryżu wszystkich przez ulicę *Beauregard* przechodzących. Na górnem piętrze jednego domu słychać było wielki krzyk i sprzeczkę. Nagle brzękły szyby, rozwarło się śklanne, prawie aż do podłogi pokoju sięgające okno, a jakiś zaciekły człowiek wyrzuca niewiastę, i zwiesiwszy ją nad ulicą, za włosy trzyma. Między ludem okropny krzyk powstaje. W pośpiechu rzucają pierzaty i materace w to miejsce, gdzie nieszczęśliwa ma upaść. Jednakże w śmiertelnéj trwodze niewiasta chwyta się oboma rękami swego prześladowcy i w ten sposób znowu się do pokoju wdziera. Lud wpada do pomieszkania, chwyta zaciekłego szaleńca, i prowadzi go z szyderstwem i urąganiem do więzienia.

Największa menażeryja w Europie. Menażeryja w zoologicznym ogrodzie w Londynie, liczyła podług ostatniego wykazu 894 żywych zwierząt, między témi 352 źwiérząt ssących, 524 ptaków, a 18 płazów. Niektóre z tych zwierząt, a między témi znajdziesz prawie wszystkie wielkie czworo-nożne, są dla umiejętności całkiem nowe, inne zaś, jak np. przepyszny bażant argusem zwany, są dopiero po raz pierwszy widziane w Europie. Znajdziesz tu zgromadzonych mieszkańców ze wszystkich stron świata. Przeszło 60 gatunków małp mieszka w osobnéj budowli, która wystawiona r. 1840, przewyższa koszta pięknego wiejskiego dworu. Dwóch sławnych lékarzy w stolicy, wezwano na obrady, gdy dla zmniejszenia wielkiéj śmiertelności tych delikatnych, do podzwrotnikowego klimatu przyzwyczajonych stworzeń, ten gmach wzniesiono. Całe stada girafów i kengurów bujają po otwartéj wolnéj przestrzeni. Obok przepysznych bażantów z gór Himalaja, ujrzysz tu najśliczniejsze ptaki z lasów podzwrotnikowych; tam przebywają węże i krokodyle amerykańskie. Większa część tych źwiérząt dana jest w podarunku. Na spisie dawców pierwsze miejsce zajmuje królowa, która tym razem lwicę i białego bociana przysłała.

Srogie obchodzenie się z niewolnikami. Anglik Sturge, który wydał dzieło o Stanach Zjednoczonych, opowiada, że w Nowym Jorku żyje pewien Hiszpan z wyspy Kuba, który dawniéj w Hawannie prowadził handel niewolnikami i niegdyś omal że nie padł ofiarą zemsty jednego z swych niewolników. Zapowiedział on mu na dzień następny surową karę. Przywiedziony do rozpaczy Amerykanin, skrył się w pokoju swego pana i godząc na jego życie, przez omyłkę przebił sztyletem w nocy jego żonę. Z powodu tego wypadku powieszono wraz z sprawcą trzech Murzynów jako wiedzących o tym zamachu, Hiszpana zaś ogarnęła tak wielka trwoga, że opuścił Hawaunę, i przeniósł się do Nowego Jorku. Wszelako i tam nie poprzestał prowadzić haniebnego handlu, a zeszłego roku miał z tąd odnieść sto tysięcy dolarów czystego zysku. Hiszpan ten żyje dotąd w Nowym Jorku bardzo wystawnie i ma być bardzo przyjemny w towarzystwie, ale tchnie największą nienawiścią ku wszystkim Murzynom.

Abdel-Kader i Zaira. Nadaremne były wszelkie usiłowania ujarzmienia nowo-czesnego Jugurty. Abdel-Kader pojawił się i znikał jak wiatr *Samum.* Nie można go było ani ujrzéć ani schwytać, lecz tylko spustoszenia jego spostrzegano. Atoli czego ani Spahowie, ani Lamoricière, ani Changarnier, ani Bedeau nie dokazali, to się miłości powiodło. Abdel-Kader chociaż Marabut, znany jest jednakże już od dawna z miłostek swoich. Seraj jego jest jednym z najwytworniejszych w tamtejszym kraju, i gdzie kolwiekbądź zapędzi go los wojny, wszędzie towarzyszą mu jego niewiasty. Ciągną one przez cały dzień za wojskiem; pod wieczór wbijają Arabowie w ziemię cztéry pale, i nakrywszy je materyją tkaną z włosa wielbłądziego, miejsce to w harem zamieniają. Wojsko rozkłada się obozem, a po chwili poświęconéj sprawom państwa, udaje się Abdel-Kader do Zairy. Zaira jestto młoda Trypolitanka, łącząca w sobie wszystkie zalety, jakie Arabowie od oryjentalnej piękności wymagają. Wdzięki jéj podług ostatniego ocenienia, podawano na 300 funtów szterlingów. Abdel-Kader zachwycił się niemi. Lecz jakże przemijającą jesteś piękności, jak nierozsądni są ci, którzy się błahém twem posiadaniem pysznią! Od dwóch miesięcy zostaje Abdel-Kader w największéj trwodze. Cóżto Emirowi, pytają rzezańcy, derwisze, i wszyscy czerwoni jezdcy? Oto Zaira z ciała spadać zaczyna. Nie raz zchodzi na zasobach w obozie Arabów. Tak zwane *Razzias* (napady wojska francuzkiego), zabierają im owce, zboże, oliwę, sér wielbłądzi, zgoła wszystkie żywności. Od dwóch miesięcy nie było aby jednego półmiska *kuskusu* u stołu Emira. A bez *kuskusu* nie podobna utrzymać się pięknej niewieście. Z *kuskusu* otrzymują tamtejsze kobiety owę tuszę, która synom proroka tak bardzo jest miła! Zaira traci na okrągłości, a przecież ją ubóstwia Abdel-Kader, podobnie jak niegdy Soliman swą Roxolanę, chociaż Zaira nie ma tak zadartego nosa jak tamta. Abdel-Kader z miłości zaprzestanie prowadzić wojnę, a może się nawet za półmisek *kuskusu* Francuzom podda.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.